



Jacek Popiel

część I z III

Sygnatura notacji: **N1214**

Data urodzenia: **05.08.1928 r.**

Data nagrania: **22.11.2017 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Łęki Dolne, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 37 min, część II: 54 min, część III: 32 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jacek Popiel: Urodziłem się 5 sierpnia 1928 roku w koszarach w Lubaczowie. Ojciec tam był dowódcą kompanii CKM. To był 1 Batalion 39 Pułku Piechoty. Ale po kilku latach ojciec dostał pracę w innym mieście, tak że przynieśliśmy się do Siedlisk. Tam ojciec pracować zaczął jako księgowy u księcia Sapiehy w Siedliskach. No i tam też po kilku latach stamtąd wyjechaliśmy do Rawy Ruskiej. Bo brat do gimnazjum tam zaczął chodzić w Rawie Ruskiej. No i... Ja jeszcze do szkoły nie chodziłem, ale charakterystyczna rzecz jest, że brat w koszarach jak tam przebywał, to chodził zawsze i słuchał co żołnierze, jak szkolili się żołnierze. Później nabrał takich wiadomości, że później podpowiadał żołnierzom, jak nie z tyłu, jak z dołu. No to później ci podoficerowie zwykle go pędzili już, bo po prostu lubił broń i znał się na broni. Kiedy ojciec dostał pracę w 1935 roku w starostwie w Żółkwi to przenieśliśmy się do Żółkwi i tam mieszkałem. Tam zacząłem chodzić w 1935 roku do szkoły powszechnej. Tutaj jest to godło właśnie z budynku szkoły powszechnej w Żółwi, które nie wiem, czy to Niemcy, czy Rosjanie zdarli ze ściany, bo jest troszkę nadwyrężone, bo tam najpierw do Żółwi Żółkwi przyszli w 1939 roku Niemcy i po dwóch czy trzech tygodniach wycofali się zgodnie z porozumieniem z Rosjanami i na to miejsce przyszli Rosjanie. Oczywiście myśmy mieli czteropokojowe mieszkanie takie ładne, duże i nas później, jak oni przyszli, to zagęścili nas do jednego pokoju tylko, gdzie zbudowali kuchnię i to była ta nasza kuchnia, a tam w trzech pokojach mieszkały trzy rodziny oficerów rosyjskich, które tam w tamtej kuchni normalnej urzędowali. Nie będę mówił jak to, bo to już anegdota są o tym, że te żony tam się często ubierały w nocne koszule balowe i tak dalej, ale w każdym razie można było troszkę się uśmieć nieraz z tego wszystkiego. Takiego mieli synka Wołodimira, Wołodzia, Wowa, Iswaryn, syn kapitana, to jego babka była Polką, po rosyjsku nie umiała i go tam nieraz pacierza uczyła i to, i on mówił: „Jacek, chodź, zaprowadź mnie do kościoła”. Ja mówię: „No to dobrze, chodźmy”. „Nie, ja nie pójdę” „Dlaczego?” „Bo ja się boję”. „A czegoś Ty się boisz?” „A szto mienia Boch

da" - „A co mi Bóg da?” Ja mówię: „ Nic ci nie da, po śmierci pójdziesz do nieba”. I on tak jakoś to, no ale, ale, ale... bał się. Chciał a nie mógł, a nie chciał. I co najlepsze, jak on często śpiewał „Moskwa moja, lubi moja, nikim nie pobiedi moja”. I tam „A ja, Moskwa moja, waniucza ja, mogucza ja, waniucza ja, śmierdząca”. A tam za drzwi tata „Wołodzia, skatina!”. Tam go tam rugał. Ja gówniarzem głupim byłem, przecież za takie coś, to można było na Sybir wyjechać z miejsca. No ale jakoś obyło się bez tego. Później nas wyrzucili w ogóle z tego mieszkania. To zamieszkaliśmy w Żółkwi, przy takiej ulicy Haryjowej, w malutkim domku, któremu pocisk jedną ścianę rozerwał, tak że była ściana zakryta. I tam myśmy u tej pani, ona w kuchence malutkiej spała. A myśmy tam właśnie gnieździli się w tym zrujnowanym pokoju. I tak jakoś śmiesznie to było, ale dzięki temu może, że nas tak wyrzucili, że straciliśmy się im z oczu, że nas nie wywieźli do Rosji. Bo te wywózki do Rosji to były na porządku dziennym tam. Że jak było tylko jakieś, no bo to było kilka akcji takich wysiedlania ludności. W pierwszym rządzie to wysiedlili wszystkich od niemieckiej strony, bo ich zarejestrowali niby na wyjazd do siebie. Podawali im adresy i tak dalej, a oni przyszli i później jak raki powyciągali i wywieźli do Rosji. No a myśmy tak jakoś później dzięki temu, że mieszkaliśmy w takiej chałupce, biednej, i ten ojciec pracował jako stróż nocny na budowie łaźni, brat pracował, gdzieś tam z kolegami drzewo cięli ludziom i tak dalej. Tak czarno-roboczymi byli, więc uniknęliśmy deportacji do Rosji. Przyszli Niemcy, aha, jeszcze jak myśmy wrócili z tułaczki tej z 1939 roku, bośmy aż pod Monasterzyska zajechali, bo mieliśmy na Rumunię jechać, to... Jak to to było? Przyjechaliśmy, to stróżowa, taka pani na dole mieszkała i ona właśnie upilnowała nasz dom, bo na przykład w przedpokoju stały trzy butle, takie balony 25-litrowe na wino. I tam były porzeczeki, a Niemcy przyszli, pytają się: „A co to jest?”. „Barszcz”, a machnęli ręką, a to było wino, jeszcze porzeczkowe. I tak, jak przyszli Niemcy później w 1940... A jeszcze w 1939 roku, jak wróciliśmy z tej poniewierki takiej ucieczkowej, no to ja jeszcze zbierałem, na polecenie starszych kolegów, pociski artyleryjskie do działa 75-milimetrowego, bo gdzieś tam była armata w stodole, no i amunicję do karabinów, do Nagana, do pistoletów, to raczej nie, tylko właśnie do rewolwerów Nagan. A wycygały mi dwa pudełka tego od kolegi, który nie wiedział co to jest, a ja mówię, widzisz to jakaś zepsuta, bo pocisków tutaj nie ma, a ja wiedziałem co to jest, bo do Nagana szły naboje ze schowanymi w łusce pociskami, dlatego, że przed strzałem nabój się wysyłał do przodu i przód tej... A łuska wystawała poza bębenek. To wchodziło w lufę, jak strzał był, no to troszeczkę to rozdymało i gazy nie szły w twarz. I w ten sposób grupa, która szła później na granicę, gdzie był między innymi Sękowski i Rembisz, natknęła się... ale podobno byli oni już prowadzeni od Żółkwi aż do granicy i dopiero przy granicy ich capnęli, ci się bronili, zabili jednego czy dwóch Rosjan. No i I wzięli ich, wszystkich tamtych, później w 1940 roku zasądziła na obozy, na Kołymy Kołymę, a tych kilku, Rembisza i Sękowskiego, zostawili, bo darowali im karę śmierci, ale czekali na „pomyślenie”, czyli świadectwo o tym. No i I oni dwaj zginęli później, jak wycofywali się Moskale, to ich zastrzelili. Tam wtedy w Żółkwi zastrzelili na rynku, właściwie w więzieniu koło rynku, 30-parę trzydzieściparę osób, w tym było paru Polaków, a większość to Ukraińców, którzy tam podskakiwać zaczęli i zakopali ich tam pod basztą, no ale brat to widział i później zaczął odkopywać, to mu przyszli, pomogli i wszystkich tam ciała wyciągnęli, chcieli robić Żydom pogrom żydowski, ale Niemcy nie pozwolili, bo to jeszcze była strefa przyfrontowa taka i tylko ich tam zakopali, już umyli, zakopali, tam na rynku moglię taką zrobili. Tak że, jak przyjechałem właśnie z tej tułaczki takiej w 1939 roku do Żółkwi z powrotem, no to jeszcze na polecenie kolegów, brata, wynosiłem pociski do działa 75, tam do lasu w określonym miejscu je tam zostawiałem, no i amunicję karabinową i tę do... tego rewolweru, no Nagana, to też tam później dałem tym. Jak szli na granicę, to się obronili tam, ale za to dostali karę śmierci. Szkole... Szkole oczywiście Rosjanie polikwidowali, wszystkich cofnęli o jeden rok, bo u nas były 9-letnie, a u nich to 10-letnie, no to to uważali, że to za dużo i cofnęli nas o jeden rok. I najlepszy kawał,

że na pierwszej lekcji, aha... bo utworzyli szkołę polską, ukraińską, rosyjską i żydowską. No i w tej naszej polskiej szkole na pierwszej lekcji zakonnica uczyła nas internacjonafu, międzynarodówki. Takie to paradoksy były. Za Rosjan, to to mieliśmy polską szkołę w zamku królewskim tym, na parterze. I troszeczkę lekceważyliśmy, no bo to jednak ta wojna to rozbawiła nas. Tośmy potrafili przez okno wyskakiwać na lekcji, iść tam na boisko sobie pograć czy w zimie. Dopiero później, jak przyszli Niemcy do Żółkwi, jak front się przeszedł przez Żółkiew, no to już wtedy było amunicji, broni pełno wszędzie. Także to dopiero wtedy człowiek już zbierał to wszystko. Między innymi w 1942 roku, już jak Niemcy byli, brat powiedział mi, żebym ze spalonego czołgu T-34 wybudował RKM czołgowy. I tam stał ten czołg koło dworca kolejowego, i tam kolega, który mieszkał na stacji, bo był synem kierownika dyżurnego ruchu, to mi pomógł wybudować go. Ja taki RKM wziąłem bez nóżek, bez bębena, żeby jak najmniejszy był, owinąłem to w te... wiklinowymi gałkami, przeniosłem do domu. Pomogłem bratu go rozebrać do ostatniej śrubki i czyściłem, opłowywałem, bo miał zadry takie po odłamkach, i chodziłem po innych czołgach zbierać części wymienne do niego. Brat też ze Lwowa przywoził i w ten sposób mieliśmy w domu taki RKM Diegtiarewa czołgowego. Z tym, że ja postarałam się od kolegi o słupek taki ze stodoły rozebrany, słupek, który miał wycięcie na te belki, no to ja to przyniosłem kawałek taki, poszerzyłem to wycięcie i tam do niego włożyłem te zasadnicze części tego RKM-u i opiekowałem się tym. To służyło nam jako, służyło nam jako, mnie jako podpórka pod daszek, na którym siano dla królików trzymałem. A w tej komórce to właśnie on tam był jako podpora tego wszystkiego. I raz... a mieszkaliśmy później już wyrzuceni z domu u Ukraińców. Wiedziałam, że to są troszkę tacy nacjonałści, ci Ukraińcy i jednego razu wyciągnąłem go, żeby go przesmarować i żeby nie zardzewiał bardziej, a tu się drzwi do komórki otwierają i on włazi mi. Ja tak zasłaniałem i to, ale on musiał go widzieć, ale nic nie powiedział i dzięki temu jakoś uszło mi to. Jak przyszli później Niemcy, to już wtedy tej broni było pełno. Na stacji było składowisko broni, całe kupy sprzętu wojskowego. No to ja tam chodziłem, brat mi mówił, co trzeba wziąć, jakie części czy coś. Ten kolega, który mieszkał na stacji, mi pomagał i to wrzucaliśmy między drzewo, tam takie składowisko drzewa było, no i później brat wybierał to sobie, do tego części dobierał i tak broń uzupełnialiśmy. Mój starszy brat, Adam, w 1939 roku skończył Korpus Kadetów numer 1 we Lwowie. Na broni się znał pierwszorzędnie, no bo w domu broni było pełno zawsze. Nie mówiąc o tym, że my mieszkaliśmy w koszarach, to on tam jeszcze przy tych żołnierzach się doszkalał i ten, tak że naprawdę był ekspertem z dziedziny broni i on mi właśnie mówił, co trzeba, jak i tak dalej. On był starszy ode mnie o niecałe 8 lat i właśnie on mnie wprowadził w to wszystko, że ja tak się znałem na tej broni, bo jemu pomagałem, do niego przynosili broń taką źle przechowywaną, pistolety czy coś, to trzeba było to rozbierać delikatnie, czyścić, przesmarowywać, uruchamiać i on to robił. I przy nim ja się uczyłem, przy nim ja się uczyłem. W 1944 roku, z końcem stycznia przyszedł do mnie starszy o 5 lat kolega, ale z którym ja właśnie współpracowałem tam w konspiracji i zbieraliśmy razem broń, amunicję i on powiedział: „Chodź Jacek pójdziemy tam na Haraj, do lasu”, bo ja tam zakopałam, mam zakopane granaty polskie. Dobra, poszliśmy, to było pięknie, to był styczeń, koniec stycznia 1944 roku, słoneczny dzień, śniegu nie było, idziemy tam, a w tym miejscu ludzie coś tam zbierają gałęzie czy coś i wobec tego on mówi: „Słuchaj, pod tym krzaczkiem jest zakopana łuska, w łusce są granaty, teraz nie wyciągniemy tego, to ty sobie później weź, a mniej daj granaty rosyjskie, kilka granatów rosyjskich, bo on był gajowym, we wsi, takiej czysto ukraińskiej, mieszkał, bał się, że go tam zamordują, bo już front zaczął się zbliżać do granic Polski i te bandy ukraińskie szły przed tym frontem, uciekały właśnie też na teren Polski. Ja mu dałem w takim razie kilka rosyjskich granatów takich ręcznych, one nie były za bardzo pewne, bo detonatory zamakały szybko, no ale wziął, poszedł i to była gdzieś sobota, 30 stycznia czy coś i w poniedziałek czy wtorek przychodzi wiadomość, że on został zamordowany przez Ukraińców. Ja później

szukałem, dowiadywałem się, bo nie byłem pewny, że on zginął. Jeździłem po Śląsku, bo tam go widzieli, niby tam go widzieli, ale niestety, później dowiedziałem się od gościa, że po niego przyszli w nocy, jakoś z domu go podstępem wyprosili, że niby na wesele wzięli i ślad po nim zaginął. I dopiero chyba w dziewięćdziesiątym którymś roku dowiedziałem się u kogo on mieszkał tam w tych Butynach. I jak była okazja, to pojechałem tam i później od domu do domu, od domu do domu i trafiłem właśnie do tego gospodarza, u którego on mieszkał. Z tym, że on powiedział, że nie wie, co się z nim stało. Ale on sam chorował na serce, a jego córka chorowała na stwardnienie rozsiane i kolega mój, lekarz, dawał mu lekarstwa. I on mi wreszcie napisał: „Ja wiem, gdzie on jest pochowany”. No to dobrze, pojechałem tam do tych Butyn i on mnie zaprowadził na taką łąkę, gdzie tam krzaczki rosły, gdzieniegdzie i mówi: „O! On tutaj leży”. A ja pytam się... a to już było za rzeką tam, „A skąd pan wie, że on tutaj leży?” „Proszę pana, bo tu jest pień drzewa, które tu rosło, tak. Tu jest ten rów, który jest, a tu jest dołek, który osiadł”. No i ja podziękowałam, poprosiłem go, żeby tam jakoś krzyżyk postawił czy coś. I on to zrobił, ja później dałem tam tabliczkę w języku polskim i ukraińskim. I to tam jest, ta mogiłka jest, bo syn czasami tam jedzie z harcerzami i tam kamienie biorą ze sobą, gdzieś kamienie jakieś i tam taką mogiłkę z kamieni sypią w tym miejscu. Tak że te granaty... A teraz ciekawa rzecz o tych granatach. Te granaty są mi szczególnie bliskie, bo to właśnie są te, które ja później wyciągnąłem z tej łuski, wie pan. Wyciągnąłem, przyniosłem do domu, a my mieszkaliśmy na pierwszym piętrze, dosyć wysokim takim. I ja te granaty miałem w butach koło łóżka i siekiere, żeby jakby szli do okna czy coś, żeby się bronić. I proszę pana, ja te granaty przywozłem z powrotem, jak jechaliśmy tutaj do Łęk w 1944 roku. Czekałcie, myśmy jechali w maju, w maju 1944 roku. No to wziąłem je ze sobą jako mienie przesiedleńcze i jako pamiątka po nim. To było tak, jak myśmy tu przyjechali, to Ukraińcy, Ukraińcy, ludzie tutaj zdzierali nas za bezdurno. Taki piękny stojący zegar duży, do tych mebli pasujący, bo myśmy mieli też takie same meble. I proszę pana, to za byle co, worek jakiejś troszkę fasoli, w worek zboża jakiegoś tam, kawałek słoniny i to wzięli. Jak ja po wojnie chciałem od nich odkupić, to nie wiedzieli, ile brać. I on tam stał, stał, stał i wreszcie komuś sprzedali to. Tak tutaj było. Przed wojną stosunki z Ukraińcami były poprawne. Jak u nas było Boże Narodzenie, to tamci, oni szli do nas kolędować też, ci chłopcy. Jak u nich było Boże Narodzenie, to myśmy tam chodzili do nich kolędować i to było jeszcze wszystko w porządku. Dopiero po jakimś czasie zaczęła się jednak pogarszać sytuacja między Polakami a Ukraińcami. Do tego stopnia, że w domu te granaty to trzymałem koło łóżka i to było już... Mimo tego, że w tych trzech sąsiednich pokojach byli Niemcy, niemieccy żołnierze, to baliśmy się, że oni mogą przyjść i mordować. Bo był taki plan, dopiero jak zastrzelili nasi prowodyra ich, Myssaka, to się troszkę uspokoiłi. Ale tak to było groźnie. A brat tymczasem tam był w tym oddziale, który osłaniał wieś Stanisłówka koło Mostów Wielkich, na północ jeszcze od Żółkwi. I tam oni mieli broń, mieli amunicję, to wszystko, okopy mieli. I- No i raz Niemcy przyjechali i pytają się, „A te okopy to na co to, gdzie te RKM-y są?”. „A to nie my, to Rosjanie tutaj byli. I to, to, to nie”. „A co wy mówicie mi? Jak Rosjanie byli, to oni byli przed śniegiem czy po śniegu, a to jest świeże. To co, widłami się z tego bronicie?”. A oni jakoś tam coś, coś tam, coś tam. I wrzucili Niemcom świniaka na samochód, Niemcy worek amunicji zrzucili i pojechali. I było w porządku. Tam jednak Niemcy w stosunku do nas troszkę inaczej się zachowywali, jak, jak, jak, jak tutaj. Wiedzieli, że tam są i Ukraińcy, i Polacy, i Żydzi, i Rosjanie, i cholera kto wie jeszcze. I dlatego, i dlatego... tam, i ze strony Niemców to myśmy mniejsze straty mieli niż od strony Rosjan. Jak front zaczął rosyjski iść w kierunku na Polskę, to te ukraińskie bandy, które również Rosjan atakowały, zaczęły się cofać przed frontem i na te nasze tereny tam wchodzić. Oczywiście nie, nie... im taki każdy praktykant leśny, Polak czy gajowy to szkodził i dlatego była akcja taka likwidacji ich. Wtedy kiedy zlikwidowali tego mego kolegę, Zdzisława Hucińskiego. I wprawdzie był planowany atak na Żółkiew, mimo tego, że tam był dosyć duży garnizon niemiecki, ale

na szczęście nasi zastrzelili tego prowodyrę ich, Myssaka. Podstępnie dziewczyna go wyprowadziła do lasu, na Harę i on tam się chwalił, „Oł, nasi idą”. A to szli właśnie nasi, którzy mieli go tam rozwalić, podszli do niego, wyciągnęli broń, „Sztó wy? Sztó wy? Sztó wy?”, a to pach, pach, zabili go i ją wzięli, ona, ona zdrętwiała po prostu z tego strachu, ale wzięli ją na stację kolejową, tam wykupili jej bilet gdzieś poza Lwów, daleko, a ona do Lwowa tylko miała jechać, no i w ten sposób Żółkiew się uratowała. A brat był tam w osłonie wsi Stanisłówka, to była polska wieś, czysto polska wieś, tam Ukraińców nie było i oni tam kwatrowali i jednocześnie osłaniali tę wieś, i tych, te pobliskie wioski, tam polskie czy coś, to tam mieli pod swoją opieką. I raz właśnie jak był napad na Żółkiew, na szczęście oni mieli, wiedzieli, co się dzieje, bo oddział wyszedł z Żółkwi do lasu i tam, stamtąd miał furmankami w lasy Janowskie pójść na odbiór zrzutów. Ale proszę pana, baby dała im jajka surowe, no to co z tymi surowymi jajkami robić, to zatrzymali się w lesie, rozpalili ognisko, zaczęli gotować te jajka, no jak się zgotowały, to można było już iść, a to tymczasem dowiadują się, że Ukraińcy okrążają tę wieś. No to co, zostawili te jajka, to wszystko i biegiem tam. I z tyłu jak zaczęli biec, to już był troszkę lekki zmrok, to tamci „dawaj, dawaj, skorej, skorej, prędzej, prędzej”. No i oni tam im z tyłu wjechali na dupę, wyfukli ich trochę, wieś się obroniła, ale została spalona. A wieczorem, to proszę pana, spodziewali się, że Niemcy przyjadą w to miejsce, bo ksiądz tam był, który poszedł do Niemców prosić o pomoc. No i brat miał RKM, tam od strony właśnie tej drogi, Żółkiew - Mosty Wielkie, i raptem słyszy, idzie wojsko, jedzie coś. To mogły być i Niemcy, i mogli być Ukraińcy, dywizja ta, SS. No to brat tam im nad głowami puścił serię, a jak tamci odpowiedzieli z miejsca ogniem, takim zdecydowanym, to on się kapnął, że to jest wojsko regularne, no to schował ten RKM pod mostek i wyszedł tam. Pogadali, pogadali, pogadali. No to myśli, sami jeszcze, to jutro będziemy, może pojutrze będziemy jechali do Żółkwi, uciekali, bo tu już nie ma co, bo wieś została spalona. No to co, to rzucili Niemcom świniaaka na samochód, a Niemcy zrzucili worek amunicji i zadowoleni pojechali. I tak to było. Tam Niemcy inaczej troszeczkę traktowali Polaków, a to właśnie byli ci Polacy i Ukraińcy, którzy na Wołyniu tam rżnęli, później uciekali przed moskalami, bali się, że tutaj ich też nasi później dorzną, więc dlatego atakowali tę polską wieś.